

WACŁAW IWANIUK

27

CIEMNY CZAS

Poezje

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1968

WACŁAW IWANUK

CIEMNY CZAS

CIEMNY CZAS

1918

INSTITUT LITERACKI

IMPIUM EN FRANCE

General Institute of Literature

of the Polish Academy of Sciences

100 Warszawa, Poland

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 156

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

WACŁAW IWANIUK

CIEMNY CZAS

Poezje

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603680

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Milczenie, 1959

Wybór wierszy, 1965

(Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1964)



II. 768. 108



© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1968

1968 W 944

Przepisy ukazywały niezmordowany
idealizm, wewnętrzne widzenie
racjonalizmu, moc uczestniczenia
przez to wewnętrzne widzenie
w zdarzeniach ręki lub nogi,
bachantki lub centaury,
w cierpieniu przyrody i cierpieniu
ludzkiej matki.

Leopold Buczkowski: *Pierwsza świetność*

NAD ANNAŁAMI NASZYCH CZASÓW
ODPRAWIAM GRAMATYCZNE STYPY —
KRONIKARZ — RZEŹBIĘ LITERY I SŁOWA
PRZYGOTOWUJĘ RYMY DO WYSTĘPÓW
I MUSKULARNE ĆWICZĘ ZDANIA

ŻADNE GRUZY NIE SĄ TAK WSTRZĄSAJĄCE
JAK MARTWY WIERSZ. POETA
ODGRODZONY OD SŁOWA
POZOSTAWI PO SOBIE
TYLKO KRZYK PAPIERU

DOGMAT

Rano budzę się wypoczęty i lśniący
Jak żagiel na pełnym morzu
Wszystko we mnie drga, mam pod ręką
Chemiczną czystość powietrza i wody

Potem przez słońce zbliżam się do ziemi
Czasem jak Ikar
Czasem ruchem lawy
Sytą dłonią
Wznoszę po drodze krystaliczne góry

Wierzę wtedy że jestem ponad własny ciężar
Z lekkości której nie można opisać
Spróbuj mnie dotknąć
Natychmiast maleję
Uciekam całym sobą i wypełniam przestrzeń.

Tak między mną a życiem powstaje przymierze
Jak między wnętrzem gotyckim i stropem —
Ołtarz — to właśnie diament słowa
A czas — materia która czerpie z niego.

CZTEROWIERSZ

Tylko droga do światła nigdy się nie kończy
I pamięć żłobi we mnie swój odwieczny krzyk
Tylko ciemność za nami żłobi korytarze
I słowo szuka po omacku jakubowych drabin.

ZŁOTE KŁOSY

Marii i Józefowi Czapskim

Lennym ruchem otoczę wasze głowy
I zmuszę słowa do złotego kłosu.

Idziemy brzegiem tej samej równiny.
Otaczają nas noce, uwalniają świty
Szukamy: wspólny łączy nas niepokój
Siła co łuska serca, uskrzydła ciemności
I wędrujące piaski trzyma w pogotowiu.

Ogień za ogień! Płomień gdy skrzyżuje
Swój żywioł z naszą Dawidową procą,
Kiedy wystąpią mocni przeciw słabym
Nikczemni sprawiedliwym zarzucą nikczemność
Wtedy snycerze słowa, snycerze koloru
Marie Mickiewiczowskie, Józefy od Łagrów
Prapolskim ruchem otworzą nasz czyściec
Pełny jak worek maku.

Przyłożmy do ust kamień niech mówi milczeniem
Spójrzmy na zielen co się chlubi sobą
Gdy wyłuskuje z ziemi urodzajne poty.
Łaska to że w jej cieniu możemy odpocząć
Patrzeć na ludzi wracających z czyśćca
Szukać tych co nie wrócili —
Którzy dotknęli życia jak jaskółka wody.

Dzisiaj północne rzeki szepczą polskim słowem!

Świat nasz otoczony jest kolczastym drutem
Miasta przed nami zamykają bramy
Ulice obcą ręką odpychają nas.
My odmawiamy nasze żywe mszały
Za poległych na wojnie, zwołujemy ludzi
Wiedziemy wspólnie uparty spór z czasem.

2

Ręce za ręce! Jakie są wasze ruchy, jaka doskonałość
Gdy tak leżycie oddalone od ciała, pozbawione
Kinetycznej dzielności —
Przed wami wiatr znieczulony staje
Rzeka traci jądro swojej siły
Słowo wstrzymuje akustyczne relacje.
Molekuły istot wędrują w waszym cieniu.
Między niebem a ziemią rozpuszcza włosy stopniennie
powietrze.

3

Z tablic pisanych na wodzie co komu zostanie?
Kto raz spłonął nie wróci już do pieców!
Nie wszystkie podróże kończą się powrotem.

MITY

Lubię mity które nie boją
które powstają bez rozlewu krwi,
rozwijają się miękko jak nić z kłębka
gdy go kot potrąci pazurem —
które powstają z pastelowego zetknięcia się faktów
historia nad nimi pochyla się jak w lustrze
by sprawdzić i uzgodnić w nim własne oblicze.
Lubię mity które świecą za siebie jak płetwa w słońcu
fakty rybim ruchem przetrząsają czas
czasem coś nie dopisze skóra pęknie tryśnie krew
ale dłoń ją dogoni, wstrzyma udobrucha —
czasem się drzewo skurczy zapomni o własnym cieniu
ślepy próg odejdzie od ścian, zatoczy się
gubiąc grunt pod nogami
ale w porę przybędzie czujne pogotowie
i przywoła fakty do porządku.
Ziemia dalej rozdzielać będzie plony
natura uruchomi słoneczne zegary
by były na czas i były szczęśliwe —
lubię mity głoszone przez klepto-proroków.

NIEBO NA EXPO 67

Nie myślcie że na starość niebo traci kolor
że na palcach po nim chodzą aniołowie
i gubią białe pióra jak panny chusteczki

tak może było, ale ci
co powracają z kosmosu
mówią inaczej —

niebo jest wciąż precyzyjnie krążącą maszyną
o naoliwionych i błyszczących częściach
przy której nasza ziemia
jest krwawiącą raną —

wszystko tu mądrze tkane — rośnie
czas układa części na przestrzennej bieli
rozcina łunami
przeświewla fioletem —

niebo ma swoje szare dni i spazmy niepogody
ale nie może upaść; mleczna struga światła
trzyma je w proroczym natężeniu

po nas zaś przebiega śmierć zygzakiem błyskawicy
i pozostawia niskie wzgórza
pulchne narośla kwiatów
blaszane ornaty

by twarze zmarłych mogły się weselić

u nas zawsze mądrzej po zgonie —

a niebo jest jak szklana bombonierka
amerykański Glob na Expo 67.

OCZYSZCZENIE

Hance i Bumkowi Heydenkornom

Na moich dłoniach leży ciemny czas
Bramy wczorajsze u nóg mych się pienia
I ludzie wchodzą w mroczne kruchty.
Czasem widzę na ich ustach skurcz
Wtedy na chwilę stają, patrzą bez litości
Jakby chcieli powiedzieć że przy ich otchłaniach
Nie ma miejsca na moje dno.

Kurz zmęczenia pokrywa im twarze
Zetłone rzęsy leżą jak skorupy
Źrenice nic nie widzą przez ślepe zatory.
A oni jak odpadki po złuszczonym czasie
Nie mają w sobie nic z piękności
Strome go ludzkiego ciała.

Gdy wchodzą we mnie, sam ruch ich oczyszcza
Napełnia blaskiem i świeci od środka.
Podobni do pachnącego różanego drzewa
Długo ukrytym we mnie płomieniem się sycą.

Potem wychodzą. Po drugiej już stronie
Stają rzędem i milczą, podobni do latarń
Które się palą nad wzburzonym morzem.
Nikt już ich warg nie zmusi do słowa
Nikt nie odbierze ciszy. Aby ich zobaczyć
Objąć jednym spojrzeniem wszystkie ich wymiary
— Moją w nich, szczelnie wypełnioną całość —
Muszę oczyścić siebie w kryształach ich ciał.

KOMPOZYCJA

Z szarej ciszy wychodzą ręce; zamykają się
wolnym ruchem okna: po jednej stronie noc
po drugiej oświetlone wnętrze
pełno w nim jak w ulu ludzkiego dosytu,
sylwetek, dramatycznych na ścianach cieni
sięgających ukosem przez okno: tutaj
są gwiazdy, księżyc, gwarzą świerszcze
zapachy spacerują bulwarem powietrza
mocne w kolorze barwinki, inne
jak jedwab ciche szeleszczą aromatem —
z drzew zawieszono schodzą długonogie cienie
przez burty rowów, zagony, wychodzą na drogę
gdzie skąpym krokiem porusza się dżdżownica
przyczepiona do ziemi pełźnie, wznosi garby
jej polerowane ciało błyszczy w zimnym oku gwiazdy;
a dalej konik rozlega się echem
kiedy goleniem pociera o goleń
i świerszcz jak słowik śpiewa — ropuchy
wyrzucają z siebie bulgocące zwroty,
na ścieżce wkleśłe grona po ostatnim deszczu
piasek je przyjął, wessał w swoje ciało
sympke, podobne do piany na wodzie,
została po nich wkleśłość jak po łzie
gdy ta pada na miękką powierzchnię westchnienia:
tu umierają materialne rzeczy
jałowe oko nie może już służyć
patrzemy zamkniętą szczeliną pamięci
zbudzony kształt przybiera na sile

wychodząca powaga, cicha na natchnieniu
aby zapisać do pracy swój cenny rysunek
skłonny pod pieczęcią uświęconych myśli;
też odzyskał, choć się skłonił, szlak jak mój chrześni
odgadną od nas dwie rzeczy: wiara; zniszczyć
jak była otwarta, przepaść podobała wchodząc głębiej
z nią siedem myśli by odgadywać tajemnicę i ciałem —
tano...

Jeżeli nie zawsze nadchodzi

KONIEC * *

Oldze poświęcam

Jeżeli ziemi przypisano noc
Jeżeli trawy mają zejść nam z oczu
Jeżeli mamy stracić wiarę w zieleń
Jeżeli drzewa wywiozą do pieców
I ptakom każą uciekać za morze
Jeżeli kwiaty umrą bez powodu
Odcięta gałąź opróżni powietrze
Słodkie owoce przedziurawi robak
To co z człowiekiem stanie się? Co z nami
Po przebudzeniu?
Powiedz — co?

CI KTÓRYCH NOC UWALNIA

- Ci których noc uwalnia, niosą z sobą ciemność
Idą jak chmury dymów z pogorzeliisk.
A gdy przechodzą przez próg horyzontu
Dzień odwraca się do nich plecami, jak człowiek
Przed nimi drzewo poci się i drży
Cienki kształt liścia ciemnieje od wnętrza
W korę o skórze pomarszczonych ropuch
Wbiegają z hukiem krople rosy
I wchodzi noc, zatrzaszukując drzwi.
Ci których noc uwalnia, niosą z sobą ciemność
Wchodzą w nasze wnętrza skrytymi kruchtami
By nas z nienacka nakryć zapomnieniem.

KARTOFLISKO

Najpiękniejsze kartofle widziałem w Bretanii —

ma ona wilgotny klimat
głęboki cień lasów
pada na kartofliska —

smagłe sosny
otaczały namioty
w środku wykarczowano symboliczny rynek
z chorągwią —

dalej były doły
z deszczem nad głową
przeznaczone na

drewniane korytka z wodą
łączyły ich dna
z naszymi twarzami

Francuzi kochają brud

potem skończył się postój
znikły kartofliska
w Norwegii była noc
a my przeobleczeni
biliśmy piersią
o przyzby Narwiku —

Czasem kartofel jest jak róża w porę.

DIALOG Z NIEUMÓWIONYMI

Co im powiem
Na których czekam
Na nieumówionych
Których nie znam
Kto do mnie przyjdzie
Jaką przyniesie twarz
Jakim ruchem ręki
Wyprzedzi moje słowo?

Co im powiem
Jak wytłumaczę
Mój obłęd krążenia
Wokół zdania —

Moje istnienie
Z ich istnieniem
Toczy śmiertelny
Pojedynek.

ŚWIETNOŚĆ KTÓRA TRWA

Autorowi „Pierwszej świetności”

Jakiej ciemności sięga jego dłoń?
Jakie ruchy zatacza, by z pamięci
Poddanej śmierci, wyzwalać ludzki głos?
Gdzie są ci ludzie z którymi on obcuje?
Żyje jak cień za węglem inną pełnią
Innych dotyka słów
I inna, bliska, śmierć otwiera mu ramiona.

Którędy płynie jego krzyk — i po co?
Może jesteśmy głusi, a on dla nas niemy,
Gdy słowa wtacza jak kule w łożyska.
A potem cała maszyneria strzału
Jest odwróconym dla nas logicznie porządkiem.
Ma inną barwę, inną siłę; na nią
Nie działa zwykle przyciąganie ziemi.

Gdzie jest on? Przy jakim usiadł oknie
By śledzić ruchy zwierząt, losy ludzi i kosmosu?

Wieczność! Dlaczego zaraz niesiona na tarczy?
Rosnąca w greckim słońcu, w biblijnych cytatach?
Jak tresowany słowik, albo gołąb
Gdy podtrzymują skrzydłem walący się strop?

On, zapytany, mógłby odpowiedzieć!
A tam gdzie jest broń
Człowiek maleje i znika
Słowo traci swój ruch i kształt.

Wojna odlogiczna!

Na naszych oczach powieszeni wracają do życia
Zdejmują z szyj pętle i podają je sędziom.
Sędziowie posłusznie unoszą się i za chwilę
Patrzymy na salwy ich nóg gasnące w powietrzu.

Śmierć nie wywołuje echa!

I tak

Dziwaczny ten porachunek, zmowa, może akt
Pamięci który natura powierza wieczności
Odradza się, zaczyna żyć
Umiera i zmartwychwstaje
Jest, jak tego pragnął Autor
Świetnością która trwa!

On zaparty, mógłby odpowiedzieć
A tam gdzie jest brzo
Odbiorze małe i duże
Siem nać swój ruch i kształt

Wojew odwołania!

Na naszych oczach powoli wstają do góry
Kiedyś x szły pętle i podaje je rodzinom
Sędziwie postawione uszereż się i za chwilę
Pamięty na salwy ich nóg garszą w powietrze

NA ŚMIERĆ POETY

A on był losów naszych wiernym organistą
Grał na przestronnych zmyślonych organach
Jego nuty dzwoniły obsypane światłem
Wśród diun, na naszym pustym pojezierzu.
I błyszczał wtedy wyłożony złotem
Olbrzymiał wnętrzem gregoriańskich chórów
I był jak gotyk drzewa, przęsło światła
Jak liść gdy w płomień składa głowę.

Był naszych losów wiernym organistą.

MIEJSCE DOZÓW M. PAMIĘĆ

Jak żywa rana na obszarze ciała
Jak lilia którą Pan Bóg otacza opieką
Mogłaby umrzeć, zstąpić w palenisko
Mogłaby, ale nie chce. Uparta po śmierci.

...
ani używał dawnych grammatycznych wzorów
najlepiej zmieniła się w ten sposób dla ludzi
i opisywał je w sposób, który byłby imo-
oni — należy mieć — w rzeczywistości
zachował się jak dzieci, musieli więc odnieść
historia im nie pomagała, czas nie pomagał —
i ta broń nie była dla nich, nie była dla nich
pozostało tylko Miłość, która była
Gdy jak nieśmiały przemycał...
A potem pada. Goliatów
Płodzą normalne kobiety
Wychodzą one z ukrytych rozpadów
I stają się bezwonnymi Dawidów
Którym nawet nie w głowie jest walka.

I tak po rozciśnięciu Dawid musi umrzeć
Gdy Goliat martwychwstaje.

MIEJSCE PRZEZ DUŻE M.

.... to miejsce było tu ale już go nie ma
przenieśli je jak jakąś ruchomość
została po nim na podłodze plama
którą odwiedzamy gdy księżyc jest w pełni
by dzielić się z sobą własnym zasłuchaniem
.... nie można już mówić o nim słowem teraźniejszym
ani używać dawnych gramatycznych zwrotów
najlepiej zmienić czas i tryb
i opisywać je w trzeciej osobie liczby mnogiej:
oni — należy mówić — w trzydziestym dziewiątym
zachowali się jak dzieci, musieli więc odejść
historia im nie pomogła, czas — niestety — zawiódł
i ta dwoistość najbardziej nas boli
pozostało tylko Miejsce które kiedyś było
a dziś już świeci pustką....

DAWID I GOLIAT

W głowie mi się nie chce pomieścić by glob
Był wirującą kulą
Włuskaną w powietrze łąą
Nanizaną na nić pamięci.
W historii którą napiszę
Nie będę znęcał się nad pierworodnym grzechem
Jak Kain nad Ablem —
Ludzki ród pozostawię w spokoju.
Dość już mamy mordów i całopaleń
Dziś każde jagnię ofiarowane Bogu
Plami krwią nasze ręce
Które stają się rękami katów.
W naszym powszednim od szarości życia
Tylko iskra wnosi żywy kształt
Gdy jak meteor przecina powietrze
A potem pada. Goliatów
Płodzą normalne kobiety
Wychodzą oni z ukrytych rozpadlin
I atakują bezbronnych Dawidów
Którym nawet nie w głowie jest walka.
I tak po zwycięstwie Dawid musi umrzeć
Gdy Goliat zmartwychwstaje.

ODRZECZYWISTNIENIE

Na lśniącem gzymsie barokowa ziemia
Czas jak szuflada pełna roślin —
Tyle kłopotów sprawia mi jej widmo
Że kiedy mech na skałach się gromadzi
Gdy promień ostrzem swoim rozłupuje ciemność
Chciałbym i ja, gdy mnie nikt nie nagli
Zrzucić z siebie bolesną skórę.

Na wargach płotów plazma ziemi
Rozwiesza zielone slogany ogrodów
Ziarna wchodzi w soki po szyję
Jak w kąpiel instynktów
By celnie i bez pudła atakować życie.

Ruch rodzi ruch
Korona koronę
Obrazy moje w przeświecionej ciemni
Tracą kształt
Parują
Stają się przezroczyste.

CIEMNOŚĆ KTÓRA NAS DZIELI

Oni mają własną w Historii wysokość
Morską naturę, zawile milczenie
Z mowy ich przeziiera skrytość
Ułożona w kolonialne sterty, pokropiona krwią.
Oni są jak syte fauny
Zawsze sprzedają po paskarskich cenach
Ziemia rodzi ich wszędzie.
Gdzie inni wznoszą pomniki, sprzedają
Deski i łopaty grabarskie, oni
Budują banki. Ich domy handlowe
Pełne są towarów.
Ich kominki płoną bezustannie w wilgotnym klimacie
Ich domy mają wiktoriańskie meble
Ich kundle spacerują bezpiecznie po sytych trawnikach
Ich królowa ma krzykliwy głos ale mądre słowa
Ich twarze nie mają odbić.

Ja nie wyrosłem pod ich kloszem
Nie byłem ich kolonialnym sprzętem
Wydał mnie mały ale urodzajny kraj
Gdzie mieszkańcy często zstępują do piekła
I tak długo pokutują tam aż czyjaś niecierpliwa dłoń
Nie wyciągnie ich i zmusi do życia.

Chociaż mamy dziś wspólne słowa
Nie mogę powiedzieć byśmy byli równi
Moją pamięć wciąż jeszcze torturuje ciemność
Która nas dzieli.

ZNAK

Ludzi poznajemy po sylwetce słowa
Po twarzy gdy ciemnieje, gdy zmienia się w metal
Po rękach gdy wygłaszają ruchliwe kazania
Po otoczeniu. Sięgnij a zobaczysz
Ile dokoła leży zapomnianych faktów
W których niesyta pamięć drapieżnie plądruje.

Ludzi poznajemy po kronice czasu:
Człowiek z naturą sprzymierzył swój los.
Po oczach, bluszczu czoła, po sklepieniu skroni
Po wypukłościach czaszki, po włosach gdy są
I błyszczą niby tiara ozdobna na czubku.

Ale po czym poznamy, co ukrywa pamięć
Wypukłość głosu z wykrojenia warg
Suszę gdy idzie na zdobycie ciała
I atakuje serca ruchome sygnały
Zdolną zatrzymać życie.

Po czym poznamy zdanie gdy je toczy strach
Po czym poznamy sylwetki naszych katów.

Wiele z nas zdarto. Wracamy do ascezy.
Źle ułożony barok spadł z nas razem z tłuszczem
Czekamy w sobie na nadejście znaku
I po tym tylko możemy się poznać.

NORWID W NOWYM JORKU

Był jak schizma odłożona na jutro
Jak dąb pokryty bluszczem
A myślał że się o niego upomną współcześni
Ze jego głos wyda echa.

Siadał w Parku, na ławce jak starszy pan
Którego męczy spacer, który przyszedł z ulicy
Sąsiadującej z oceanem. Przypłynął tu z portu
Do którego musiał iść wiele dni i nocy.
Nie zatrzymując się, głodny, wyszedł z domu
W połowie snu. Kraj bezustannie
Oddalał się, dusił go Paryż
On siadał w Parku sam
Czekał, zapadał się w mrok
Po kolana
Albo po szyję
Uwięziony jak łąza
Gdy się przemienia w perłę.

Dziś też są ludzie
Niezręczni
Niedogrzebani
Życie po nich przeszło
Z impetem lawiny
Starci, podnieśli się
Wyjechali.

Ich słowa w dymie wyplakały oczy
Pozostała na nich skorupa milczenia
I ciemność pełna brunatnych opadów
Jak po wybuchu wulkanu.

Rozumię potrzebę Ziemi Obiecanej
Jerozolimy
Ale nie rozumię
Kary samotności.

I pomyśleć że za drzwiami było niebo
A on nie mógł otworzyć drzwi.

OTOCZONE BAROKOWĄ LINIĄ

Zanim wyjdzie z siebie
szuka ustronnej ścieżki
by utrzymać się w kursie —
nad człowiekiem nie warto się litować.
Trzeba go czasem wziąć za gardło
zagrozić śmiercią
wycisnąć z niego wszystkie cnoty
do naczyńia które czeka
otoczone barokową linią.

Potem szczęśliwy dzień zacznie swój połów
Wozy paradne od żalu wywiozą niepotrzebny gruz
za miasto gdzie już czekają blaszane ordery
i syntetyczne daty.

ZŁOTOUSTY

Rzeczą każdego z nas jest wydrzeć z siebie
największą szansę człowieka, jego cnotę
ostateczną

Albert Camus: *Notatniki*, 1939-1951

We mnie grają jeszcze jego instrumenty —
— — — — —

On by dzisiaj miał pięćdziesiąt lat
Jego spichrze pęczniałyby ziarnem
Syty od wróżb na jutrzejszy dzień
Na zapowiadającą się dłuższą pogodę.

TROJA

Patrzę na piękną Troję
Na jej świecący warkocz cegieł i kamieni
Na opuszczone place
Na drzewa — pęki włosów — oblepione gliną
Przypominające martwą sylwetkę meduzy.

Patrzę na Troję całą jeszcze we krwi
Na rozrzucone ciepłe szczątki
Z których jaszczurka ropy ciemną strugą ścieka
I nie pozwala zamieszkać na gruzach

Patrzę na Troję! Usiadła nad brzegiem
Wygasłej rzeki. Nie pamięta już
Jej opalonych mazowieckich pól
Ni drzew wspiętych na palcach, ani mostów
Płaskich i mocnych w krzyżach
Pamięć się tylko żali gdy dotknie wspomnienia
I próchno świeci.

Patrzę na piękną Troję! Z dnia na dzień
Czas ją pomniejsza a słowo wyolbrzymia.

FATUM

Ciała naszych dzieci
jak ostrygi wyjęte z pancerzy
pękają dotknięte ostrzem
otwarte usta piszczą w błękitnym powietrzu
i różowy naskórek gaśnie
skorupy dłoni łączą się od spodu
są jak skrzydła serafinów w które ścieka krew —
jeżeli będziemy tylko czekać to opadną liście —
ziemia bez nas pozbiera się w sobie
odejdzie spod stóp
nie pozwoli się deptać
odmówi oparcia.

* * *

Mnie już żaden nie poągali czas
Nie spieszę się. Ziemia jest okrągła.
I tak dojdę, choćbym stał w miejscu.

Mam lśniące słowo do zszywania snów
Przez ucho jego przejdą spalone wielbłądy
Pachnące kopice siana; gotyckie kościoły
Stalowe lutnie z pociskiem na księżyc.

To wszystko co we mnie wsparte jak na skrzydle
Co się owija wokół ludzkich twarzy
I pożera ziemię jak dżdżownica
Co jest muszlą o różowej wardze
Śpiewa jak piana morska zgubiona na plaży.

PLANETA

Nauczyłem się mówić szeptem
Gdziekolwiek wkraczam budzę popłoch
Napełniony po brzegi ciemnością
Żeruję na waszych snach.
Jestem jak suche drzewo
Jestem nagi
Zdjęto ze mnie klejnot zieleni
Bez kwiatu
Bez owocu
Jestem jak paralityk elektrycznie zwawy
Z głową pochyloną nad własną ruiną.

Gdybym był planetą, miałbym własny ruch
I własną siłę do dźwigania innych.

Z WYSOKOŚCI DZIESIĄTEGO PIĘTRA

Wieczór wkłada barwne rękawiczki
Druty parskają ogniem. Elektrownia
Upina światła w kondygnacje włosów
Drzewa stoją w Mojżeszowym blasku.
I widzę jak z wysokości dziesiątego piętra
Ulicę wypełniają anioły Chagalla.

CYFRY

Przełożony na nasz dzień umarłby przed zeznaniem
Nie odbyłby żadnej dzisiejszej podróży
Przyzwyczajony do wyraźnych słów
Zamieszkałby w szufladzie i czekał
Aż się zmienią kaprysy i normy
Stawki, wyrównane godziny
I przepis na Wodza.

Dobrze może, że nie mamy Rimbaudów.
Bo wiersz nasz nie promieniuje
Bo wiersz nasz nie pachnie
Jest cyfrą
I grozi
Kulą!

GDY W NOWYM JORKU UMIERAŁ DYLAN THOMAS

Gdy w Nowym Jorku umierał Dylan Thomas
Padły razem z nim walijskie drzewa
I wszystkie płaczki zbiegły się na lament.
Śmierć! Śmierć! On, który wszedł zaledwie w życie
Już kwiatem słowa kłaniał się ciemności
Bezradny w swej podróży. Poeta umierał!
O, jakież jady wchodzą w nasze ciało
I zmartwychwstają w jego zgonie?
Chociaż śmierć nad nim nie będzie mieć władzy
Żadnej — świeckiej, ani z krzyżem w dłoni
Gdy do mnie przyjdzie, nie będę się bronić
Ani uciekać w mój z popiołów świat,
Przeciwnie, położę się twarzą do zenitu
Jak on — i po schodach wyłożonych wiatrami
Wspinać się będę, dochodzić do celu
And death shall have no dominion
Nad nami!

JAK W PIOTROWYM WORKU

Takie są drzewa jak po alkoholu
I pola leżą wypalone z gliny
I takie słowa którym głos odjęto.

Anioł nad nimi ciemność w dłoni trzyma
Zasłania oczy by nie patrzeć
I ostry piorun załamuje ręce.

I widzę jak kula ziemi zatrzaśnięta gaśnie
Jak z jej nadmiaru siny tors się wspina
W kopule dymu jak w Piotrowym worku.

CHODZENIE PO ZIEMI

To można było ułożyć inaczej —

dziś narody
nie mogą sobie pozwolić
na nowe tragedie

jeszcze jednostka
owszem
rzucić się może z mostu
w imię własnego
ja (które zresztą po latach
płowieje jak włos)

ale po naszych
egipskich ciemnościach
po przejściu wpływ
Czerwonego Morza
musimy nauczyć się
chodzić
przyziemnie

zwykłym krokiem
i zawsze w przód

dopiero gdy jesteśmy
zupełnie samotni
możemy cofnąć się

a nawet wejść
w abstrakcję
gdzie się zazwyczaj błądzi —

siedem zmysłów
to dziś stanowczo za mało.

MÓJ OPIEKUŃCZY ANIOŁ

Przez pola w pełnym spustoszeniu
Pozwól porównać ruinę z ruiną

Gorącą pszczołę gdy się z kwiatem zмага
Obutą w słodycz i ciężką od wosków.

Gdzie chłód przy drzewie mierzy własny cień
Pozwól porównać mój cień z jego cieniem

Usta z ustami, gdy przybite chłodem
Giną, podobne w ruchu do złotych motyli.

Potem o brzasku gołębie się budzą
Przylepione do dachów białymi płacami.

— — — — —
Tak niepojęty opiekuńczy anioł
Choć bezcielesny, przysłonił mi świat.

FERETRONY

Czerwona róża rozmnażała w ogrodzie kolory
Moja siostra czekała na wianek
Płatki róży śmiały się w otwartym upale
Gdy rosa padała na nie natychmiast sparzona
Uciekała w powietrze aby leczyć rany —
Matka nieskazitelnym ruchem czesała siostrze włosy
Obie były jak dwa ptaki na jednej gałęzi
Rozmawiały niskim szeptem nie unosząc słów
Rozpuszczone włosy
Spadały feretronami
Do ziemi.

NAUKA CHODZENIA

Gdy pierwszy raz matka pomagała mi przekraczać próg
Uczepiłem się zrębu jej ręki jak taternik
Gdyż nigdy jeszcze nie widziałem takich Himalai.

Gdy pierwsza gwiazda weszła na czub drzewa
Poczułem chłód jej jak dotknięcie ognia
I ręce z lodu o pięciolistnych palcach.

Ziemię pokryła ciemność, mechanik zgasił prąd
Kroki odeszły. Monotonny zegar
Łupał na wieży drewniane godziny.

Potem wśród sfinksów które noc ustawia
Pustą drogą wymiecioną z ruchu
Szły echa jak wczorajsze duchy.

DON'T TOUCH ME,
I'M FULL OF SNAKES

Don't touch me, I'm full of snakes!

Jestem jak martwa gleba bez kropli powietrza
Jak zestrzelony wiatrem obłok
Jak rzeka która była i której już nie ma
O skamieniałych brzegach. Jak bezsilne słowo.
Don't touch me! Wolę nosić w sobie
To, co wypełnia moje sny po brzegi
Lata których żadne słowa nie odmodlą.
Chowam w sobie trujące wspomnienia
Zmije płomieni i jad gazu —
Żyję jak lustro, z twarzą ku przeszłości.

MONDRIAN — KOMPOZYCJA Nr 1

Widzę jak w ogniu odbarwia się metal
Chłodne powietrze goi jego rany
Jak pod włosienicą wczorajszych kolorów
Stroma linia pieniąc się — rozkwita.

MONDRIAN — KOMPOZYCJA Nr 2

Interesuje mnie wewnątrz jego linii
Więcej niż dramat tak zwanego życia.
Nie to co żyje, ale to co ginie,
Kształt gdy przechodzi w pozakształt
I przestrzeń w pozaprzestrzeń.
W ukrzyżowaniu cierpiących kwadratów
Jakżeż gorąco chciałbym być jego pejzażem.
Chodzić w żałobnej czerni po ostrych krawędziach
Zamieniać blaski w szarą wieczność.
Wybierać między dwiema przepaściami.

MAŁY PRZEWODNIK PO FLORENCJI

Z ulicy wystają szlifowane kamienie.
Nagie, niedokryte, opalone słońcem
Błyszczą jak cygańskie oczy.
Błękit odprawia nad nimi bezchmurne festyny
Aż niebo turkusowieje
I wino rozgrzewa się w szklankach.

Kobiety opięte jak Zofia Loren
Błyszczą jedwabiem i florenckim latem
Mężczyźni ruchem Giotta podają im ręce.
W głębi płaska twarz
Spóźnioną plamą przylega do ściany —
Jest jak Fra Angelico, ma bezkrwistą cerę.

Dalej otwiera się przestrzeń kolumną i ogniem
Gdzie nagie torsy dyszą jak ciała atletów
Tysiące mrówek przebiega im pod skórą
Która drży jak lampa nasycona ogniem
Mięsień przy mięśniu, a wszystkie w proporcji.

W starych ścianach, gdy przyłożysz ucho
Słyszysz jak krzyczy diabeł ówczesnej epoki
Głos jego strąca w płomień piękne perspektywy
Philipppo Lippi. Dziś jego obrazy
Są świętsze od Savonaroli.

Jeszcze Da Vinci, poeta i ksiązę
Tycjan, jak Goya naszych czasów
Rembrandt i Rubens przesyceni bólem.
Jeszcze ciepły w kolorze, smutny Boticelli
Zmarły przedwcześnie. Madonna z Dzieckiem
Jest świadkiem jego śmierci.

Chodzę w ich cieniu, podpatruję twarze
Szukam burzy która przez nas przeszła
Pragnę porównać ich czas z naszym czasem
Ich dna niezamącone.

BEZKRÓLEWIE

Nie ma takiego nieba które by trwało wiecznie
Ani kości nie wrócą do własnego ciała —

Pióro dmuchawca biały cherubin ciepła nić lata
Mają w naturze jeden tylko los
Prędzej czy później kończą się usuwają z rąk
I żadna pamięć żadna waga czasu
Nie odwrócą ich ruchu —

Nie ma takiego nieba które by trwało wiecznie
Ani kości nie zakrzyczą głosami proroków
Prędzej czy później opuszczą wygodne mieszkanie
Rozsypią się pod pustką i własnym ciężarem.

ŚWIĘTY FRANCISZEK

Święty Franciszek ma twarz słonecznika
Święty Franciszek stoi w złocie po kolana
Cały od liści
Od różowych kwiatów
Od batystowych brzoź

Święty Franciszek pobrataniec ziemi
Niesie ludziom ich uśmiech i dobre ramiona
Mrówkom ułatwia wędrowne podróże
I pszczołom pracującym w pocie czoła — miód.
Inaczej nikt by nie poznał że to właśnie święty.

Zręczny jest jak kuglarz a gdy obdziela łaską
Robota pali mu się w rękach. Żaden złotnik
Nie rzeźbi tak szczodrym ruchem i z taką dobrocią
Jak on strofę pasiecznego dnia.

Święty Franciszek czuwa przy nas gdy zza węgła nocy
Politruk z piekła rodem planuje zasadzki
Ostrożny jest wtedy jak partyzant —
Granatem świętości zręcznie umie miotać.

USTOJ PUSTYNIA

Wszystkie Kassandry nade mną stanęły
I warczą swoim smutkiem

Wszystkie pustynie rozlały się wkoło
I ostrzą na mnie pazury swych piasków

Jeszcze na ustach czas uśmiecha się okolicznie
Ale głos w ciszy miota się milczeniem

Z jego włókien niczego już nie zbudujemy
Można jeszcze usypać niewielki pagórek

Wejść na pochyłą romantyczną wieżę
Przetopić piasek w szkło i oczy krwawić słowem.

Tu, jak w królestwie Danii, same rekwizyty
Poeci gonią za chorą mutacją krótkich zdań

Kryształ prostoty to wciąż jeszcze fata morgana
Na pustyni słowa.

ROBERTOWI LOWELLOWI

Wiersz jego jest jak płomień który wolno wstaje
Sycony tlenem. Jak nadmorskie miasto
Gdzie fale zarzucają przybrzeżne kotwice
I słońce wnosi ciepłe elementy.

Wiersz jego mówi różnymi głosami —

Jest w nich asceza, jest klasyczny kształt
Szeroka przyzba białej piany
I pracowita rzeźba rąk.

Człowiek jego przechodzi przez zasieki lat
Uprząta gruzy, buduje z rozsądkiem.
Niedziela go oczyszcza. Poddany popiołom
Wierzy w rachunek sumienia
W zmartwychwstanie słowa.

Wygląda jakby był wyciosany z czasu
Jakby jednoczył w sobie elementy
Patrzył okiem Homera. Jakby w nim Tacyt
Pisał naszą historię.
Sławił rytm.

Tak on od razu wprowadza nas w słowo
I każe zdaniom spadać jak wodospad
Pod którym o b r a z gniazdo sobie wije.

PRZYSTANEK

Dziś rano patrzyłem w promień
który się skradał po rynnie
towarowego domu
po przeciwnej stronie ulicy.
W głębi był jeszcze cień
i promień nie wiedząc szedł w pewną
zasadzkę. Nie mogłem go ostrzec.
Pomyślałem tylko że czasem
dobrze byłoby mieć w zapasie
jeszcze jedno słońce. Takie
na wszelki wypadek
gdy nas niespodziana
napadnie z zasadzki
noc.

SIERPIEŃ

W sierpniu pięknieje nawet ludzkie ciało —

Myszy gromadzą ziarno, człowiek słowa
Słońce kasztany oblewa rumieńcem.

W sierpniu jaskółki jasnym ruchem

Lecąc, zdrapują łuskę wody

I ciepłe krople unoszą na stopach

Do barokowych gniazd.

O świcie

Z zielonych fałdów żuk wybiera rosę.

Rzeka policzki przykładła do brzegów.

Z ust do ust

Pszczoła przenosi uzbierany miód.

Nad głową echo poganiane dzwonem

Unosi symboliczne żale —

Ich turkot zbliża ziemię do zenitu

Budzi na jutrznię.

W płytkich stawach

Ciała ryb błyszczą diamentami

Pod lśniącym okiem słońca.

W sierpniu kłosa

Ciężarem chleba owocują.

W sierpniu nie pytaj, bo nic nie przemija

W sierpniu zapominamy o wędrówce czasu —

Ale z lotu owadów z ruchu pajęczyny

Z układu liści które drżą na drzewie,

Nie patrząc w papierową czeluść kalendarza

Można wyczytać w sierpniu, co grudzień przyniesie.

LIŚĆ

Koniec sezonu: upadłem na ziemię
już mnie nie ucałuje promień
już się nie pozbieram
ptak mnie podepcze
rosa oczy wyje
wiatry ze mną przestaną się swarzyć —

tyle długich dni
wrażałem — czerpiąc —
w miękkość tlenu
w góry powietrza, w upał
tyle dni
chłonałem stromą nawałę promieni —

płaskie moje ciało
uwieszone za szyję
śpiewało hymny —

tyle nocy
przeszeptanych ze świerszczem
przegadanych z rosą
na śliskich wywoskowanych zielonych posadzkach —

a teraz tylko ludzki dla mnie los
leżę i cierpię
pamięcią
nie ciałem.

MIASTO

To miasto jest jak oaza wśród piasków zieleni —
Na północy wzgórza niedotarte jeszcze przez osadników
Gdzie strumienie przeciskają się szeleszczącym ruchem
I drzewa podmyte klęczą, splątane w koronach.
Tutaj są ścieżki paproci i zwierząt
I osy budują zwisające gniazda.
Na południu zaś policzki jezior
Z naniesionymi łodygami wysp
Błyszczą pokryte słońcem.
Tu w niedzielę przyjeżdżają statki:
Piłkarze i rowerzyści
Trenują zręczność. Pod krzakami róż
Matki z dziećmi budują rodzinne przystanie
Na rozesłanych kolorowych kocach.
Pełne kosze tryskają wypchane kurczętami
Butelki jak żołnierze czekają w szeregu
Aż ojciec zerwie z ich głów płaskie hełmy —
A potem dzieci będą pić pop i cocacolę.

Róże pochylą głowy
Długie kajaki jak osy dotkną lśniącej piany
Weneckie mostki — wisząc
Zdziwionym łukiem wzdychają nad własnym wygnaniem.

Dalekie miasto, oaza kamieni
Żelbetony wrzucone w powietrze
I dymy jak brudne ptaki. Pazury kominów
Raz wczepione w dachy będą stać uparcie
Aż je zniszczy czas lub Sąd Ostateczny.

PEJZAŻ RUISDAELA

Patrzę na drzewa w mokrych żuchwach traw
Na monotonne leniwe kolory

Na wypasione chmury
Wiszące u mlecznych wymion holenderskiej nudy

Na ludzi w sabotach
Gdy bezustannie toczą walkę z morzem

Tłuste boginie odpoczywają pod soczystym drzewem
Objedzone — nie chcą powracać do nieba

Patrzę na nie i męczy mnie pejzaż Ruisdaela.

SMUTNIE SMUTNY BRZEG

Jaki ten brzeg jest inny —

Z jednej strony fioletowa woda
Wgryza się w dno i wynosi jego brudy
By je prać na oczach.
Pieni się przy tym i złości.

Jaki ten brzeg jest inny. Podobny i nie.
Susza wyssała z niego zielen z korzeniami
Potem ręce zebrały resztki jak szkielety
Pozostałe na białym brzegu.
Czasem jeszcze przychodzi tu piana
I jak dziecko bawi się: buduje i poprawia
A potem nagle niszczy.
Zwykła sucha piana popędzana wiatrem.

A ja chodzę i zbieram siebie.

LITANIA

Na osiwiące w ciągu jednej nocy
Na wywiezione w bydłych wagonach
Na ten popiół w który nasze matki
Odchodziły bez pożegnania
Na ich dłonie ciągle obecne.
O egzotyko wybielonych rowów
Gdzie się nad ciałem lituje tylko biel
O słowa, rodzące się z uporem
Pełne jak Prometeusz, przykute do warg
Podróżujące cieniem po rubieżach
Z obolem ciszy ołowiu na wargach
O zatłoczone hermetycznie sny.

OPIS DOLINY

Wszedłem w dolinę: jakaż była piękna
W zielonej łusce, jaka była młoda?
Na jej zboczu łagodne paprocie
Stały ufnie jak stado jagniąt
Pod czujnym okiem matki.

Dalej w sutym blasku
Czerwona jarzębina o przegiętej szyi
Iskrami źrenic kusiła powietrze.
A na dnie, wzdłuż osi kręgosłupa
Gdzie barokowe drzewa — zwisając — szumiały
Leżał wgnieciony w ziemię strumień.

Tam właśnie weszły stopy jagniąt
I rozgarniając nylonowe chłody
Czystym oddechem drażniły powietrze.

A dzisiaj popękany czas
Suchym ruchem gasi krajobraz —
Wyrывa syte drzewa z ziemi
Rzekę uwalnia z brzegów.
Dzisiaj dolina jest jak mika w skale
Wyszlifowana do błyszczącej kości
I tylko ja wiem że tędy niedawno
Płynął jej żyzny Eufkrat. W ogrodach
Stały domy wypełnione słowem.

Dziś nie wystarcza ziarna na własne obejście
Na własną niemoc, na własną ślepotę.

NON SUM DIGNUS

... śmierć jego, po tak przerażająco długim okresie niewypowiedzianych cierpień, budzi w nas, katolikach, uczucie głębokiego szacunku. Ciężar i siła tych cierpień każą nam myśleć o jego śmierci jako o śmierci chrześcijańskiej, ponieważ przyniosły mu one odkupienie win, odkupienie niespodziewane i nadały jego życiu inny, o ileż głębszy walor.

Tadeusz Breza

Umierał bardzo długo. Był człowiekiem tylko nie kapłanem
W dusznościach bezpowietrznych usta jego o tlen wołały.
Ponad głowę miał sztuczny namiot, powietrze przesycone
[waleriana]
Instrumenty wróżące śmierć, w prześcieradłach półżywe ciało.

Tak wtłoczony w ostatnie chwile dusił się brakiem powietrza
Tylko jego przytomne oczy przebiegały z góry do dołu
Gdy zza drzwi, z korkowych wnętrzy, nadchodziła cisza
[bezdźwięczna]
Podwajały samotność źrenic krople czasu cięższe niż ołów.

Czarni mnisi snuli się przy nim jak jaszczurki wszędzie obecne
W głuchych ścianach dzwoniły dzwonki, mnichom drżały kościste
[dłonie]
Ziarna słów cięższe od życia w liturgiczną spadały wieczność
Ruchem warg: non sum dignus — i milczenie... i płacz sióstr
[po nim].

ELEGIA

Istnieją we mnie noce tak bezsenne
Ze ciało moje zamieniają w popiół
A potem leżę, zgubiony, jak wymiar.
Istnieją we mnie noce jak pająki
Razem z powietrzem wchodzą w moje płuca
I niszczą oddech.
Istnieją we mnie dni nieprzebudzone.
Czas za progiem o wypaczonym sensie
I ja dobijający się o własne istnienie.

MOZART

Ptacom otwiera głosy on
Drzewom eliksir wlewa w zielen
W sonacie jest jak anioł który
Wie że aniołem jest i nie wie.

ARKADIA

Budowałem granitowe schrony
Odchodziłem by wracać wieczorem
Żaden księżyc nie był mi bliski
Choć bezustannie szukałem po niebie
I widziałem jak z ukrytych rąk
Unosił się narodzony ptak
I spadał na ubity bruk.

Nie żał mi życia że uchodzi —
Dwudziesty wiek nie zna miłosierdzia.

Po zachwaszczonych polach wyśpiewuje czas
I buldożery —
Ziemia odchodzi od zgłodniałych ust
Syci nie potrzebują już podróżować do siebie
Jak między księżycami.
Ostatnio widziałem uschniętą fontannę
Powieszoną za gardło.

Pod moją skórą pieni się jeszcze bunt
Skowyt słów przesywa mi skronie
Gdy się grzebię w mannie popiołów
Gdzie spalono na oczach Boga pięć milionów Żydów.

Moje ręce zajęte są układaniem trupów
I nic oprócz łez nie mam dla nich
W szczelinach rżęs.

Syk ziemi zdaje się mówić:
 Oto jak owocuje ziarno ludzkie
 Wśród czystych dłoni Piłatów.
 Jakie żniwo czeka ich, jak nie zasłużona śmierć
 Za spaloną Arkadię!

CO POZOSTAŁO NAM KTÓRZYŚMY PRZESZLI
WIĘCEJ NIŻ PIEKŁO DANTEJSKIE — BO PIECE
CO POZOSTAŁO W NAS NIE DOPALONE
W CZYŚĆCU — CO PRZESZŁO PRZEZ IGIELNE UCHO
CO ZDRUZGOTANE LEŻY PO DZIŚ DZIEŃ?
PO JAKIEJ DRODZE NALEŻY NAM IŚĆ
I W KTÓRĄ STRONĘ PATRZEĆ DOJRZAŁĄ PAMIĘCIĄ?
KOGO NAM SZUKAĆ, ŻYWYCH CZY UMARŁYCH?
ONI WCIĄŻ WCHODZĄ W NASZE SNY
CISNĄ NA WARGI, ZAMIENIAJĄ W SŁOWA
TYM BARDZIEJ ŻYWI, IM BARDZIEJ UMARLI.
A JA, JAK ZIARNO NA DNIĘ MORZA — SŁUCHAM
NIEOBECNY DLA SIEBIE, A OBECNY DLA NICH.

SPIS RZECZY

<i>Nad annatami naszych czasów</i>	7
<i>Żadne gruzy</i>	9
<i>Dogmat</i>	11
<i>Czterowiersz</i>	12
<i>Złote kłosa</i>	13
<i>Mity</i>	15
<i>Niebo na Expo 67</i>	16
<i>Oczyszczenie</i>	17
<i>Kompozycja</i>	18
<i>Jeżeli ziemi przypisano noc</i>	20
<i>Ci których noc uwalnia</i>	21
<i>Kartoflisko</i>	22
<i>Dialog z nieumówionymi</i>	23
<i>Świetność która trwa</i>	24
<i>Na śmierć poety</i>	26
<i>Pamięć</i>	27
<i>Miejsce przez duże M.</i>	28
<i>Dawid i Goliat</i>	29
<i>Odrzeczywistnienie</i>	30

<i>Ciemność która nas dzieli</i>	31
<i>Znak</i>	32
<i>Norwid w Nowym Jorku</i>	33
<i>Otoczone barokową linią</i>	35
<i>Złotousty</i>	36
<i>Troja</i>	37
<i>Fatum</i>	38
<i>Mnie już żaden nie ponagli czas</i>	39
<i>Planeta</i>	40
<i>Z wysokości dziesiątego piętra</i>	41
<i>Cyfry</i>	42
<i>Gdy w Nowym Jorku umierał Dylan Thomas</i>	43
<i>Jak w Piotrowym worku</i>	44
<i>Chodzenie po ziemi</i>	45
<i>Mój opiekuńczy anioł</i>	47
<i>Feretryny</i>	48
<i>Nauka chodzenia</i>	49
<i>Don't touch me...</i>	50
<i>Mondrian — Kompozycja Nr 1</i>	51
<i>Mondrian — Kompozycja Nr 2</i>	52
<i>Mały przewodnik po Florencji</i>	53
<i>Bezkerólewie</i>	55
<i>Święty Franciszek</i>	56
<i>Pustynia</i>	57
<i>Robertowi Lowellowi</i>	58
<i>Przystanek</i>	59
<i>Sierpień</i>	60
<i>Liść</i>	61
<i>Miasto</i>	62
<i>Pejzaż Ruisdaela</i>	63
<i>Smutnie smutny brzeg</i>	64

<i>Litania</i>	65
<i>Opis doliny</i>	66
<i>Non sum dignus</i>	67
<i>Elegia</i>	68
<i>Mozart</i>	69
<i>Arkadia</i>	70
<i>Co pozostało nam</i>	71



BIBLIOTEKA
 NARODOWA
 12 17 APRIL 1966
 807 106 PRUSSEN DE
 UNIVERSITÄT - RICHTIG
 11 1111 1111111111

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 17 AVRIL 1968
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1968

Cena 8 F (dol. 2,00)